ROK CZWARTY.

№ 25.

WARSZAWA D. (7) 19 czerwca 1859.

Niedziela 1sza po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15, Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo)

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, Ty jesteś mocą ufających w Tobie, wysłuchaj łaskawie wzywania nasze, ponieważ bez Ciebie nic nie może śmiertelna słabość; udziel nam więc pomocy twéj łaski, iżbyśmy w dopełniu przykazań Twoich i wolą i uczynkiem Tobie się poddali. (Kollekta na Niedzielę 1szą po Świątkach).

Dar Ducha Bożego.

—

Kto pracę kocha, jej się poświęci,
Największą trudność zawsze pokona
I nieustannie żywi w pamięci,
Że praca z życiem złączona,
Szczerze sił swoich do niej przyłoży,
Takiemu w serce zstąpił Duch Boży.

—

Kto wątpiącemu, jakich dziś wielu,
Co głoszą: życie dla nas uciskiem,
Niema przyszłości, niema w niem celu,
Z Chrystusa wiary ogniskiem
Nadziei źródła w duszy utworzy,
Takiemu w serce zstąpił Duch Boży.

—

Kto nad sierotą litość uczuje,
Wesprze ją radą, oświeci wiarą,
Zaród cnót pięknych w niej ugruntuje,
I nieraz z wielką ofiarą,
By kto nie gnębił, dom dłoń otworzy,
Takiemu w serce zstąpił Duch Boży.

—

Kto wpośród nieszczęść, myśl opromienia,
Że ponad nami Ojciec jest w Niebie,
Co zeszle pomoc dla wybawienia
I wesprze w każdej potrzebie,
A ducha zawsze przed Bogiem korzy,
Takiemu w serce zstąpił Duch Boży.

—

O! niechaj zawsze w dzień uroczysty,
Co jest Świętego Ducha zesłaniem,
Anioł-Stróż zstąpi, i w promienisty
Odblask rozjaśni myśl w nas zaraniem,
A razem z brzaskiem porannej zorzy
Niech wszystkim w serca zstąpi Duch Boży.

———

Lirnik na odpuście.

—

Byłoto w maju 1848 r. Prześliczny dzień wiosnowy błyszczał nad Opatowską ziemią. Swiętokrzyzkie góry, najwyższy szczyt w Królestwie Polskiem, jakimś niewypowiedzianym oblane były urokiem. Słońce jasno weszło. Przez cały dzień ani jednej chmury na niebie; najmniejszy powiew wiatru nie zakołysał dobrze już podrosłem żytem— cisza i poważna jakaś wspaniałość panowały dokoła.

Wysoka góra z odwiecznemi lasami jodłowemi gęsto poprzeplatanemi sosną i świerczyną, a ubranemi jakby w bukiety, w kląby modrzewia, grabów i buków, dźwigając na barkach starożytny klasztor OO. Benedyktynów, a u stóp północnej Łysicy cichy przybytek siostr Bernardynek i kościół Swiętej Katarzyny, od samego ranka widziała mnóstwo ludu Bożego, z odległych nawet okolic cisnącego się w te miejsca.

Dzień to bowiem ważny, pamiętny dla całego chrześciaństwa; kościół katolicki obchodzi święto Znalezienia Krzyża Sgo, a przybytek wspaniały na Łysej-górze, świątynia wystawiona przez Bolesława Wielkiego króla Polskiego, mieszcząca w kaplicy osobnej prawdziwą cząstkę drzewa krzyża Chrystusowego, ma do dnia tego przywiązany odpust uroczystości dla całej Polski pamiętny.

Z czasów jeszcze tatarskich i mongolskich napadów, z utarczek z Jadźwingami i pogańską naówczas Litwą, miejsce to cudami i opieką Krzyża Swiętego nad ziemiami naszemi było wsławione. Skutecznie chronił się nieraz lud okoliczny pod święte jego ramiona; zgromadzał swój dobytek i miejsce znajdował obronne. Na widok wspaniałej wieży i zdala błyszczącego na niej krzyża, truchlał nieraz zajadły barbarzyniec i dziwnym jakimś strachem wpośród lesistych ścieszek przejęty, cofał się ku azyatyckim swoim siedzibom.

Ileżto wspomnień do tych cudownych miejsc jest przywiązanych, ileż tu mieści się pamiątek historycznych! Każdy kamień i każda cegła w murach klasztornych, każdy obraz (1) i każdy z dzwonów na wysokiej zawieszonych wieży, mogłyby bardzo wiele wspaniałych opowiedzieć powieści. To i nie dziw, że takie tłumy ludu cisną się do tych miejsc świętych, a każdy odpust kościelny staje się wielką, na rozległą przestrzeń, uroczystością.

Przed jedenastu laty ogromny tam był napływ ludności.

Już miasteczka przyległe, jak Słupia, Bodzentyn, Łagów, Raków i Opatów, i okolice całe aż po Sandomierz, Kielce, Radom, Iłżą i Ożarów zostały opróżnione, już włoście okoliczne cichutko sobie w uroczych spoczywały położeniach; ludowina poczciwy wszystek prawie wymaszerował na odpust. Pozamykano domy i świątecznie dokoła, poważnie jakoś i uroczyście. Wszystko u stóp krzyża, na jednem miejscu, w skupieniu ducha i pokorze modli się i słucha pobożnych nauk, spowiada się i zrzuca ciężar grzechów. Już tylko co ma wyjść summa, którą dzwony po okolicy rozgłośnie zwiastują, już tłok i ciżba wielka na smętarzu klasztornym, kiedym ja, w dniu tym pamiętnym, szukając również dla strudzonej duszy zasiłku, stanął u podwoi kościoła.

Wspaniale odbyło się całe nabożeństwo; kaznodzieja wymowny, aż z Przyrowa zpod Częstochowy przybyły, wzruszył całe tłumy pobożnych pięknie powiedzianą nauką.

O! ja nigdy nie zapomnę, jak na tej górze cudownej grzmiał ton naszego „*Święty Boże*“ jak to lud nucił: *Odwróć od nas*, i jak inne śpiewy się rozlegały! Potężny organ któremu równego daleko przyszłoby szukać, dopomagał głosom i aż mury się całe trzęsły, a lud do ostatniej nuty leżał krzyżem przed Tronem Najwyższego, i długo, długo, choć już ucichły pienia, kościół był napełniony.

Wyszedłem na dziedzieniec klasztorny. Liczna gromadka żebraków wyciągała błagalne dłonie do pobożnych przechodniów. Rzęsisto sypały się trojaki, grosze i dziesiątki, czasem i złotóweczka błysnęła, i większy pieniądz ujrzałeś; zwyczajnie jak na opuście, był ten i ów, biedniejszy i bogatszy, to też i datki różne.

Wpośród babulek i dziadków żebrzących, nieco na stronie, na wzgórku pod dzwonnicą siedział staruszek siwiuteńki jak gołąb', z długą aż do pasa brodą, z rumianą jeszcze i wyrazistą twarzą. Choć trzymał się nieco pochyło, głowę wszelako miał podniesioną do góry i śmiało poglądał na przechodzących. Był bez

(1) Siedm głównych pięknych obrazków są pędzla znakomitego malarza polskiego Smuglewicza.

nogi, drewniana kula leżała obok niego, a tuż przy kuli siedział mały, śliczny chłopczyna, blondynek, z siwem okiem, przewodnik starca, bo jak się przekonałem później, ten już i nie dowidział.

Chłopiec skorupkę żółwią, a starzec lirę miał w rękach; tam sypały się hojne datki, a zpod tej starej, żylastej dłoni raz po raz dobywał się jakiś miły akkord, brzęk harmonijny, wtorujący głosowi czystemu, z silnej jeszcze, jak widać, wydobywającemu się piersi.

Zaciekawiła mię ta postać, gdyż i największa gromadka ludu w tem się miejscu zebrała.

Śpiewał bo też prześlicznie i jakoś niezwyczajnie; tak pobożnie, tak wspaniale a wyraziście. Chłopczyna czystym dyszkantem pomagał staruszkowi, w wyższych mianowicie tonach; coś męzkiego, choć wielce żałobliwego, przebijało się w każdej nucie. Lud słuchał pilnie i jam się też bliżej przysunął.

Właśnie kończył pieśń znaną, pieśń o bogaczu i bracie jego Łazarzu. Łzy gęste popłynęły z oczu słuchających; dziadek westchnął głęboko. Odpocząwszy cokolwiek, znów zaczął stroić lirenkę. Odchrząknął głośno, potarł ręką po czole, pogładził brodę, a serdecznie i głęboko westchnąwszy, na smutną nutę jął śpiewać:

O! Najświętsza panienko!
Cóż też to za lata,
Czy już sądny dzień nastał,
Czy już koniec świata?.
W niedzielę bardzo rano
Bramy otwierano,
I do miasta, do Wiednia
Turczyna wpuszczano.
Przyjechał król Sobieski,
Do kościoła bieżał,
Przed Najświętszą Panienką
Padł i krzyżem leżał.
Zawołała z obrazu:
Powstań na kolana,
Powstań królu Sobieski
Na turka pogana,
Powstań królu Sobieski,
Przy tobie wygrana.

I tak dalej, a dalej, coraz ciszej, coraz ciekawiej opiewał obronę Wiednia od Turków przez Jana Sobieskiego, króla Polskiego dokonaną, zwycięztwo wojska, opiekę nad niem Matki Przenajświętszej Częstochowskiej, aż wreszcie z hymnu, powoli, powoli, przerwawszy śpiew i muzykę na lirze, zeszedł do prostej powieści i dalejże opowiadać ludowinie rozmaite historyczne szczegóły. Słuchałem z zajęciem; wierzcie mi ten starzec dużo wiedział. Lud go ściskał i częstował odpustowemi prezentami, a co staruszek ucichł, wołano:

Dziadulku Jacenty, zaśpiewajcie ta co jeszcze. Kubuś! pomagaj, pomagaj... będzieta wieczór odpoczywać we Słupi, we Słupi, a nie tutaj.

I lały się różne tony, a wszystkie jakoś lepsze niż wielu innych odpustowych śpiewaków i jakoś do okoliczności stosowne. To znalezienie Sgo Krzyża opiewał, to o Eryku i jeleniu, cudownie na polowaniu w rogach przynoszącym krzyż święty zagubiony, nucił, to znowu napad Tatarów na Słupią i cud na Łysej-górze, to jakieś klęski i bóle ogólne, gojone przez Matkę Najświętszą, a w ustępach nieraz i dykteryjkę doskonałą opowiedział.

Żałuję, że nie mogę tu umieścić wielu pięknych rzeczy. Pamiętam tylko, że na samym końcu śpiewał o napadach Szwedzkich, o księdzu Augustynie Kordeckim i kończył pieśnią piękną, jaką niegdyś w Częstochowie podczas obrony miano śpiewać.

I tak kończąc jakąś przegrywką rzewną, opuścił ręce. Widocznie był zmęczony; oparł się o Kubusia i kuli zaczął szukać.

Powoli rozszedł się lud. Dziadek odpoczywał; jam prawie sam z nim pozostał.

— Zkądżeście dziadku? spytałem ciekawie.

— A z Warszówka, pobożna duszo.

— Z Warszówka?.. o, znam! toć przecie jedna parafija; do Pawłowa chodzicie się modlić?..

— Jużci tak jegomościu.

I po chwili poznaliśmy się dobrze.

Spuszczając się do Słupi, że to już słońce było dobrze ku zachodowi, postanowiliśmy w miasteczku zanocować. Nie śpiesząc się tedy, usiedliśmy koło kapliczki, znajdującej się pod górą, a dobywszy z tłomoczka podróżnego flaszeczkę i przekąski, wyprawiliśmy sobie podwieczorek. Przy posiłku, w uroczem tem miejscu, żywo szła nasza gawędka.

Słońce za las się schowało, zaszło tam

gdzieś za Kielce i Karczówkę. Ucichło wszystko dokoła; rosa zaczęła powoli się skraplać na trawce jeszcze młodziutkiej i liściach drzew. Lekki wietrzyk zalatywał od Słupi, przynosząc nam gwar zabawy ludzi powracających z odpustu. Kubuś zmęczony usnął sobie na dobre, a stary gwarzył i gwarzył.

— Warszówek znacie jegomość... Kochana to moja wioszczyna; tamem się urodził, tam wychował. I Bóg Najwyższy dozwolił, że w tym Pawłowie, gdziem się pierwszego nauczył pacierza i gdziem pierwszy raz śpiewał na chórze, będę mógł złożyć swoje kości, dość się nawłóczywszy po świecie. Widział ta człek to i owo, zajrzał tam het poza morza. Widziałem, gdzie pomarańcze i cytryny rosną, figi się nieraz z drzewa rwało i podobno ta pieprz się zdybuje. Ślicznie tam i pięknie, ale pono najmilej i najlepiej tu na rodzinnej grzędzie. Ja też zawsze tęsknił do mojego Warszówka, do sąsiedniego Jawora i Chybic, gdziem był pozostawiał najukochańsze osoby.

— Gdzieżeście tak bywali? radbym przecie wiedzieć.

— Oj! paniczu łaskawy, dziad ja teraz i to na dobre, dziad jak widzicie odarty i już prawie ślepy... ósmy krzyżyk na karku; alec bywało inaczej, o inaczej!..

Za Łukawskich jeszcze i Grochowolskich, (panie świeć nad ich duszami), szlachty uczciwej i zacnej, i za pana Sobiechy, którego ot syn, znany wam, włożony przezemnie do flinty, dzisiaj tak tu poluje po Ratajach i Wąchocku, wychowałem się był na tęgiego, jak ta ludzie gadali, parobka; razem z paniczami chowałem się był we dworze. To się też człowiek i czegoś nauczył; co dzisiaj umiem i co śpiewałem, to jeszcze z tamtych czasów pamiętam. Ojcowie byli gospodarzami i nieźle się mieli, Pan Bóg jakoś przy pańskiej pomocy błogosławił. Było nas kilkoro dzieci, wszyscy się jęli roli i dobrze się im wiodło. Mnie jakoś chętka nie brała do pługa ani radła; we łbie się ta coś kotłowało, panicze różne rzeczy gadali. Com ja się nie nasłuchał historyj przeróżnych, co mi tam oni nie czytywali, ba, ja sam także, gdy się już elementarz przeszło. To też jak przyszła potrzeba, a zawołali na wojaczkę, tośmy aż do góry podskoczyli. Starsi się popłakali, a my ino koło stajni i szkapy, śpiewając różne rzeczy dzień cały. Polecieliśmy w świat, odrazu w pięciu z naszej strony, od Grochowolskich także czterech poleciało, i jakośeśwa się razem spotkali.

Co ta opisywać te czasy; wy je ta jegomość lepiej wiecie. Dość, że służyłem w konnicy, bom się był od maleńka razem z paniczami wyuczył szkapy dosiadać. I tak po różnych historyach wywędrowałem z ojcowizny i licho mię ta aż do Włochów i Francuzów zagnało. Człek sam aniby ta nie trafił, ale z paniczem i z drugimi, to nie wiem którędy, aleśmy się ta dostali. Reszta historyi owego dziada była taka:

Natuławszy się po świecie, nawąchawszy się prochu co niemiara, ranny i krzyżem honorowym odznaczony, służył jeszcze potem w byłém wojsku Polskiem, jako wysłużony powrócił, zwłaszcza, że był ogromnie poraniony bez nogi i na starość też prawie zaniewidział. Chociaż brał pensyę i miał niezłe utrzymanie, toć nie mógł usiedzieć spokojnie w chałupie. Chadzał po świecie, bo lubił opowiadać ludowi poczciwemu swoje dzieje; śpiewać też umiał dużo. Kochali go i poważali wszyscy; a co zebrał na odpuście, co po wędrówkach uciułał, przeznaczał zwykle na jakiś prezent do kościoła: to na chorągiew, to na obraz, które sam nieraz z Częstochowy lub z innych miejsc świętych przynosił, to wreszcie na lampę lub t. p. przedmioty; potrzebujący też nieraz jaki biedak znalazł w starym Jacentym uczciwą pomoc. Zimą zwykle siedział w Warszówku, lub u krewnych w Pawłowie, Chybicach albo Rzepinie; uczył dzieci pacierza, pieśni nabożnych i różnych, wyrabiał liry i skrzypki, uczył grywać. Wtedy wzrok mu się jakoś oczyszczał i widział lepiej. Nakoniec w kościele, który po spaleniu dawniejszego, nie miał organów i chóru, przyczyniał się wiele do doskonałego wykonywania śpiewów; bardzo często do mszy sługiwał.

Latem i prawie zaraz z wiosny ani go było utrzymać w chałupie. Jakoś i gorzej widział i słabszym się czuł. Otóż jak powiedziałem, wędrował ów ze swoim krewniakiem Kubusiem po świecie i tak go na odpuście u Świętego Krzyża poznałem, a bawiąc dłuższy czas w

tamtych stronach, powyższych szczegółów się dowiedziałem. Kiedy mi już całą historyję swojego życia opowiedział, na drugi dzień, gdyśmy się rozstać mieli nazawsze, bo też staruszek w parę lat po tem był umarł, przyszła mi myśl do głowy zapytać się go:

— Dziadusiu Jacenty! tyleście już żyli na świecie, tyleście dobrego i złego widzieli, tyleście biedy i wesela różnego doznali, tak pięknie resztki życia na pożytek ogólny i chwałę Najwyższego obracacie, powiedzcie mi też, kiedyście w życiu byli najszczęśliwsi?

Starzec popatrzył na mnie, podumał trochę, posmutniał.

— Mało człek doświadczył dobrego, a więcej biedy i boleści różnych. To tułaczka, to tęsknota, to rany, to głód i chłód, to zmartwienia mego kochanego panicza, to śmierć jego przed 18tu laty na mojem ręku i w reszcie wiele strasznych widoków, jak to na wojnach... Za to wszystko cóż dzisiaj?.. starość i jeszcze tułaczka; nieraz z człeka źli ludzie dzisiej, się naśmieją albo ladaco chłopaki psami zza węgła poszczują!...

— Ależ przecie dziadulu, musieliście być choć raz, choć jeden raz w życiu szczęśliwi,

Jacenty znów się zamyślił głęboko, niby przypominając sobie i dla mnie czegoś szukając na odpowiedź.

Podniósł się z ławy, potrząsnął głową, przechylił ją na kark; rozjaśniło mu się oblicze, uśmiech leciutki błysnął na poczciwych ustach. Prawą rękę podniósł do góry, a lewą czegoś szukał za pazuchą. Jacenty zajmującym był w tej chwili. Biała z czerwonemi sznureczkami kamiziela, pięknie się pofałdowała na tej mezkiej i silnie zbudowanej postaci. Prawą nogę wysunął naprzód, pod lewą pachę podparł się na kuli, bo lewą nogę miał na szczudle. Siwe a długie włosy w tył mu spadały, wysokie choć pomarszczone odkrywając czoło. Ponsowa wstążeczka pod szyją i pas szeroki na biodrach, a jedna torba przez plecy, dopełniały stroju. Lira leżała na ławie. Kubuś się wpatrzył w starca, a zdjętą trzymając czapkę, oparł obiedwie ręce na kiju. I czekał odpowiedzi; kilkoro ludzi z wczorajszego odpustu także się przysłuchiwało. Jacenty mówił wesoło:

— O, nie raz, nie jeden, byłem w życiu szczęśliwy! Robiłem zawdy swoje, chętniem to spełniał, co mi kazano, kochałem Boga i mego panicza, do rodziny zawsze myślałem powrócić; uważałem, że to przecie i im miło, gdy mię w pułku chwalono. Toć i była pociecha. Ale najbardziej, najweselej mi jakoś było, to chyba, jak baczę, cztery razy.

— Kiedyżto, kiedy?... zawołaliśmy razem.

— Posłuchajcie ino i patrzcie!

Tu zza pazuchy wyjął węzełek i szybko w drżących odwinąwszy rękach, pokazał nam krzyżyk złocisty na spłowiałej wstążeczce, związany z medalikiem.

— Ot patrzcie!.. kiedy mi przy całych szeregach przypinano ten znaczek, to mi się jakoś tak miło robiło na sercu, tak jakoś zawróciło w głowie, że nigdy tej nie zapomnę chwili... Ja byłem wtedy bardzo, o bardzo szczęśliwy!..

I na Saskim nieraz potem placu, kiedy książę Naczelnik chwalił nasz numer, to zawsze pokazywał na ten krzyżyk swą szpadą, wołając: hej tamten z kokardką!.. to nieraz człowieka aż ciarki z radości przeszły.

Drugi raz pamiętam, ciągnął dalej Jacenty, kiedy mój panicz awansował na porucznika, i ubrawszy się w nowy mundur w namiocie, pytał mi się przed lusterkiem, które ja trzymałem: Jacenty, no, jakże ci się wydaję? O! mój paniczu, mój ty jenerale kochany, zawołałem, zapłakałem jak dziecko i całowałem mu kolana. Wieczorem pisał list do swojej niebogi, (mój Boże, jakieżto śliczne i dobre było paniątko, a takie nieszczęśliwe) i czytał mi, jak jej opisywał moje uradowanie. Jakże mi też tego dnia było mój Boże w duszy wesoło i radośnie!..

— Po trzeci raz, kiedym po kilkunastu latach włóczęgi i tęsknoty wszedł na ziemię naszą i pozwolono ją nam ucałować i po garstce wziąć do gęby, tośmy wszyscy z konia, i jak placki na ziemię. A kiedy ludowina poczciwy przechodząc, powiedział: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*, to już doprawdy i nie wiem, co mi się w duszy i głowie działo... ja wtenczas byłem najszczęśliwszy. A kiedym do Warszówka na urlop poleciał, jakżem ja też tam się weselił! Nie zastałem prawda tych, którychem szukał, ale

brzózka nasza stała jeszcze przed naszą chałupą. Nie wiem dlaczego, gdym ją zobaczył, tom jak smarkacz ściskał ją i płakał, a płakał rzewnie. Kochana krzewina, rosła sobie tu i rosła spokojnie, a ja takem się włóczył po świecie. Wróciłem, i nie mam z kim usiąść pod nią, jak to dawniej bywało; nikt się też i nie pocieszy tym pięknym mundurem, jakim wtedy miał na sobie. Bywajcie zdrowi! Niedługom siedział; poleciałem znowu do swoich i urlopum nie wytrzymał.

I zamilkł Jacenty. Myśmy także milczeli. Ucałowawszy i starannie obwinąwszy krzyżyk z wstążeczką, schował je w zanadrze.

Po chwili zapytałem:

— Ależ mój Jacenty, dokończcie, kiedyżeście jeszcze czwarty raz byli szczęśliwi?..

Starzec uśmiechnął się wesoło.

— Ciekawy, co ciekawy, pomruknął.

— Zgadnijcie kiedy, zawołał głośno.

Oto, pamiętam na Saskim placu, w Warszawie musztrowaliśmy się dzień cały. Ja już wtedy służyłem w piechocie. Był sam książę wódz naczelny, była i massa starszyzny. Napracowaliśmy się tęgo, o, bo też trzeba się było uwijać. Wiecie, jaki to był wódz i jaki znawca, a baczny; on to o każdym guziku i o każdej haftce nie przepomniał. A niechnobyta który o cal był z bagnetem chybił od linii...

Ja pamiętam, miałem ciasne buty; dokuczały mi straszliwie. Kiedym wieczorem przypadł do domu i te kajdany zrzucił, to myślałem, żem się dopiero narodził. O! moi kochani, ja byłem wtedy... I nie dokończył, zagłuszyliśmy go hucznym śmiechem. Jacenty sam śmiał się serdecznie i ciągle powtarzał: Tak, tak, ciasne buty; o! niech Pan Bóg każdego strzeże... ciasne buty... ciasne buty!

Wreszcie zawołał na Kubusia: marsz, marsz! i puścił się drogą ku Chybicom.

Długośmy poglądali za tym zacnym staruszkiem. Powoli niknął nam z oczów. Obejrzał się parę razy, podniósł w górę kapelusz, machnął nim w powietrzu i skrył się w głębokiej drożynie. Tylko zdaleka jeszcze dolatywały tony znanej nam wszystkim pieśni:

Witaj Pani! my poddani
Do nóg padamy. i t. d.

którą zwykł był w drodze zawsze śpiewać, a jak sam powiadał, i w boju nieraz doznawał opieki, Matki Boskiej szkaplerznej, gdy zwłaszcza tuląc na piersiach Jej wizerunek, wyśpiewywał zpod serca:

Jeszcze kula nie była,
By tę suknię przeszyła,
I granaty od tej szaty
Odpadać zwykły.

Górnictwo.

III.

O kruszcach czyli metalach.

Zaczynamy od takich rzeczy, które nas mocno obchodzić powinny. Są one najwięcej znane, najpowszechniejszego użycia, najrozmaitsze i najtrudniejsze do otrzymania.

Pożyteczność ich wielka, bo są najdzielniejszą *ochroną* i rąk naszych wyręczeniem. To stanowią oręż, zbroje i podkowy, to pług i radło, to tysiączne inne machiny i narzędzia, lub wreszcie pieniądze sprzęty i ozdoby; konduktory czyli ochronniki od piorunów i dachy, dzwony, armaty i broń wszelaką, koleje żelazne i telegrafy; albo też zegarki, pierścionki, szydła, dłuta i świderki; piły, igły i szpilki; narzędzia chirurgiczne i kompasy, osady lunet i przyrządów astronomicznych, nieraz wreszcie cyrkle i rylce artystów, pióra autorów, litery drukarskie i płyty litograficzne, tła do obrazów dagerotypowanych i t. d.

Najcięższe z ciał składających skorupę ziemską, biorąc ogólnie, usadowiły się najniżej w tworzeniu się powolnem kuli ziemskiej. Roztopione w ogromnym ogniu, stanowią bez wątpienia jądro jej główne. Że znajdują się tu i owdzie w rozmaitych innych, w najbardziej nawet wierzchnich pokładach ziemi, to nie dowodzi, żeby tam miały powstać; one tylko ze środka ziemi zostały tutaj wypchnięte. Padają też nieraz i z przestrzeni niebios, widocznie oderwane od jakichś planet, koło słońca krążących. Aerolity czyli kamienie spadające i kule ogniste, o których będzie później, składają się głównie z metali.

Rzecz dziwna, że niema kruszców gotowych, zupełnie czystych w naturze, a przynajmniej bardzo rzadko i mało się znajdują, i to tylko najdroższe, mniejszego zastosowania.

Lecz człowiek tak potrafi je przetworzyć, tak do potrzeb swoich stosować, że nic prawie w stanie przyrodzonym nie zda się ku jego celom, tylko w zupełnie zmienionym i dalekim od pierwotnego. Widoczny cel dobrotliwej Opatrzności; przez pracę tylko, przez ogromną pracę, która tak uzacnia człowieka, może on potrzebom swoim zadość uczynić.

Ta część górnictwa, która się kruszcami zajmuje i wskazuje sposoby ich otrzymywania, nazywa się nauką o metalach, czyli *metalurgią*.

Najpierwsze pytanie, jakie sobie ta nauka zadaje, jest następujące:

W jakim też stanie kruszce znajdują się w naturze? Odpowiadamy w ten sposób:

Niektóre z kruszców, w bardzo małej w porównaniu z innemi ilości, jak to już wspomnieliśmy, są czyste, czyli jak przywykliśmy nazywać *samorodne*; złoto i platyna są zwykle w takim stanie.

Srebro znowu i rtęć czyli merkuryusz (żywe srebro) oraz miedź, także dość często choć w malutkich *żyłeczkach* i włoskach albo kropelkach napotykają się w tej postaci, po większej części wszakże są w połączeniu albo w zrośnięciu, w pomieszaniu i zlepieniu z innemi kopalinami.

Nakoniec żelazo, ołów', cyna, cynk i t. p., prawie wyłącznie znajdują się w połączeniu z innemi ciałami, np. z kwasorodem, z siarką, fosforem, z krzemionką czyli piaskiem, i tworzą wtedy właściwie tak nazwane *rudy*.

Zdarza się nawet, że jeden metal nie z jednem tylko ciałem jest połączony, ale zrasta się ich 2, 3, 4 i t. d. Skład takiego minerału czyli kopaliny jest zawikłany, to też i własności różne.

Któżby, widząc rudę np. cynkową, tak zwany *galman*, mógł powiedzieć na pierwszy rzut oka, że to kruszec, że to ten metal, z którym się tak często w życiu spotykamy.

Ta ruda jest ziemista, albo skalista, wyraźny kamień żółto-brunatny, a choć dość ciężki, toć przecie niebardzo cięższy od wielu innych kamieni, z których, że niemożna wydostać kruszcu, wszyscy dobrze wiedzą.

Znaną jest powszechnie rdza żelazna, w naturze są jej znaczne składy w massach kamienistych, mniej lub więcej czystych, stanowiąc wyborną rudę żelazną. Gdybyście rdzę tę wpośród skał zobaczyli jako ziemistą massę, a często bardzo twardą, opoczystą, czerwono-brunatną, bez najmniejszego połysku i blasku, czyżby wam przyszło na myśl, że z niej może być np. sztaba kutego żelaza, a cóż dopiero piękny nóż stołowy, lub inny podobny wyrób?

Toż samo można powiedzieć o wszystkich innych rudach, które tak obficie znajdują się w naturze; każda prawie ani podobna do swego metalu.

Prawda, są niektóre błyszczące, mogące nawet łudzić kogoś nieświadomego. Niestety! po większej części są najnieużyteczniejsze, albo przynajmniej do innych celów, a nie do wytapiania metali zdatne.

Jest pewna ruda żelazna, zwana *iskrzykiem żelaznym*, są iskrzyki i innych kruszców, zwane wogóle *pirytami*. Są to połączenia siarki z metalami. Piryt taki, czyli iskrzyk żelazny, ma pozór łuszczynek złota, rozsianych w massie ziemistej, a nawet często tombak i mosiądz przypomina; bywało, nieraz zwodził łakomców. To się i u nas zdarzyło w Augustowskiem, gdzie razu pewnego chłopek nad urwiskiem rzeki spostrzegł bryłki iskrzyku żelaznego i brał je za złoto. A gdy przyjdzie co do czego, nie już złoto, ale żelazo, choćby chcąc otrzymać, na nic się nie zda topienie i cały wyrób, bo będzie kruchy, nie ciągły, zupełnie zły. Siarki trudno całkowicie oddzielić od żelaza, i nikt też takich rud nie używa na dobywanie tego metalu.

Na bagnach i łąkach naszych torfiastych albo błotnistych, przypatrzcie się kiedy wodzie spokojnej. Pokryta niby błonką metaliczną, połyskującą kolorami tęczy. Zapytacie się, od czego to pochodzi? Oto od pewnego gatunku rudy żelaznej, która pod wodą warstwowato się nieraz znajduje, tworząc pokłady obfite. Dobywa się i znaną jest pod nazwą rudy żelaznej *darnistej* albo *łąkowej*; służyła dawniej i dziś jeszcze nieraz służy do wytapiania żelaza, albo też w cegły ukształtowana lub tylko łupana z ziemi, jeśli w zbitych pokładach się znajduje, służy za kamień budulcowy, czego mamy przykład w Łowiczu, Arkadyi i niektórych miejscach w Augustowskiem, albo w Pińszczyznie na Litwie.

Srebro np. tak piękne i jasne znajduje się

w naturze często w rudzie rogowatej, ciemnej, niejako korkowatej, miękkiej, zwanej *srebrem rogowem*, z której dopiero przez długie a właściwe operacye można ten świetny metal otrzymać.

Miedź znowu jakie to dziwne przedstawia zjawiska. Możeście widzieli kiedy *malachit*, pięknie zielony, pręgowaty, n by marmur. Robią zeń wspaniałe kolumny, postumenciki, stoliczki i t. p. przedmioty. Wiecie też, że to jest ruda miedziana, a ruda bardzo nawet dobra. Zresztą rudy miedziane bywają ślicznie niebieskie, seledynowe i t. p. Są niektóre farby malarskie, często kosztowne i piękne, np. ów cynober, owe błękity i t. p. To także są rudy metaliczne. W cynobrze bowiem jest siarka, którą przez prażenie *odpędziwszy* czyli spaliwszy, zostanie nam żywe srebro, metal płynny, ruchliwy, połyskujący i ciężki.

Znajdują, mianowicie w Anglii, kosteczkowate, czarne, zbite i połyskujące kryształy, niby kałamarzyki, kawałki niby smoły szewckiej zeschnięte; wiecie, to są najzwyczajniejsze rudy cynowe.

Jedna tylko ruda właściwa wyraźnie przypomina swój metal. Jestto ruda ołowiana. Widzieć ją można w bryłkach dość obfitych w Olkuszu i jego okolicy, w tych miejscach, gdzie się dobywa galman na cynk. Toż samo w Miedzianogórze i Jaworzni pod Kielcami, a nawet na Karczówce. Ta ruda, w większych mianowicie bryłach, rzeczywiście podobna do ołowiu, tylko, że jest kruchsza i krystaliczna. Ale przy niej znajduje się srebro, a nie tak łatwo na pierwszy rzut oka o tem się przekonać. Bliżej się dopiero przypatrzywszy, zobaczymy w części kamienistej, która z rudą ołowianą jest zrosła, to żyłki, to druciki drobniutkie i pokręcone dziwacznie, to wreszcie maleńkie strzępiaste blaszki śnieżno-białego kruszcu, w matowej postaci. To właśnie srebro.

Lecz któżby znowu pomyślał, że w zwyczajnej naszej glinie np. ceglarskiej, znajduje się bardzo ciekawy i piękny metal? A tak jest rzeczywiście.

Podobny do cyny, cynku i srebra, troszkę siny, używa się dotąd na łyżeczki i tym podobne przedmioty, bo jest jeszcze bardzo drogi. Ale gdy sposoby jego otrzymywania staną się tańszemi niż są dotąd, i może bardzo taniemi, cóżto za wyborne dachy miećbyśmy z niego mogli! Nie psuje się i nie rdzewieje na powietrzu, taki lekki, a gliny przecie wszędzie dostatek.

Metal ten nazywa się *glinem*, czyli z obcego *aluminium*.

Nakoniec godne są wspomnienia dwa jeszcze metale, których rudy u nas się znajdują, t. j. metal *kadm*, dający piękną i żółto-pomarańczową farbę, i drugi *antymon* (z czeskiego nazywany czasem *siurmą* albo *surmikiem*,) który pomiędzy innemi użytkami daje i ten, że znajduje się w znanym powszechnie środku lekarskim, w emetyku, a przytem z ołowiem i żelazem stanowi doskonałe czcionki czyli litery drukarskie.

Kadm znajduje się przy galmanie cynkowym około Bendzina i Dąbrowy w powiecie Olkuskim, antymon zaś (wraz z arszenikiem) często przy rudach miedzianych w okolicach Kielc i w Karpatach.

Zagadka.

(Wyjątek z rozrywek Rzemieślniczych.)

Pan Jan Czamarka, majster krawiecki,
Raz na wieczerzę sprosił sąsiada,
A gdy ich miódek rozgrzał zdradziecki,
Rozweseliła wspólna biesiada,
O tem, o owem różnie się gwarzy.
Sprosili sobie za stół czeladkę,
I gdy z młodymi żartują starzy,
Pan Jan zadaje taką zagadkę:
Malutka, cieniutka, na słońcu się świeci
A kiedym ją zaprzągł do jedwabnej nici,
I zaczął popędzać w tę i tamtą stronę,
Najpierw mi poczciwą wyswatała żonę,
Potem wyżywiła czworo hożych dziatek,
Kamienicę wreszcie dała na ostatek,
Dała ją, składając cegłę po cegiełce.
Zgadnijże moj kumie kochany wielce,
Czyto jaka wróżka, czy zwierz nieznajomy,
Co pilnym i trzeźwym krawcom stawia domy?

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować. — Warszawa d. 1 (13 czerwca) 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*